GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LUTEGO 1935 R.

NR. 4 ROK V

ZDARZENIA I POGLĄDY

DYSKUSJA BUDŻETOWA

POWOLNY PROCES

STEFAN MEYER

PLAN I DZIAŁANIE Z. S. R. R.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

UWAGI

CŁA I KARTELE

PRZEMYSŁ LUDOWY

UBEZPIECZENIA-KRYZYS-POSTĘP GOSPODARCZY

GRZEGORZ TUROWSKI

„PRAWO SILNIEJSZEGO" A „PRAWO OCHRONY SŁABSZEGO"

BOLESŁAW WŚCIEKLICA

NOTATKI

PRÓBA WYJAŁOWIENIA DYSKUSJI

„DE-BLOKOWANIE" ZŁOTA

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 4
1935 R.
15 — II

ZDARZENIA i POGLĄDY

DYSKUSJA BUDŻETOWA

Bezwątpienia sejmowa dyskusja nad budżetem zasługuje w pełni na omówienie w czołowym artykule. Nietylko dlatego, że sam ściślejszy temat, to znaczy kwestja wysokości i struktury budżetu, należy zawsze, a dziś tembardziej, do zagadnień o największem znaczeniu, nietylko dlatego, że przy okazji dyskusji budżetowej szereg ministrów gospodarczych oświetlił resortowe zamierzenia — najważniejszym i najciekawszym niewątpliwie punktem dyskusji były rozsiane w szeregu przemówień z ław rządowych i z ław stronnictwa rządowego ustępy, odnoszące się do całokształtu polityki gospodarczej w obecnych warunkach konjunkturalnych.

Rzecz prosta, że w tego rodzaju enuncjacjach wachlarz poglądów musi i może być szerszy niż przy dyskusji nad konkretnemi zagadnieniami polityki gospodarczej. Również sprzyja temu faza dyskusji budżetowej. W miesiącach jesiennych, kiedy preliminarz wpływa do izb, uwaga koncentruje się na zagadnieniach ściśle budżetowych. Ku końcowi dyskusji niezależnie od problemu, czy istnieją jeszcze w zakresie naszego budżetu pozycje nieusztywnione, na plan pierwszy wysuwa się kwestja kształtowania się dochodu społecznego, ewolucji jego rozmiarów i podziału.

Wreszcie obecne położenie konjunkturalne nie pozbawione, obok oznak dobiegania do końca niektórych procesów wyrównawczych, również i objawów pewnej odcinkowej poprawy, stwarza podłoże do rozważań sięgających dalej w przyszłość. W tych warunkach obok zagadnienia przebycia okresu depresji myśl kieruje się ku sposobom przejścia do nowej fazy, sięgając nawet do podstawowych wytycznych.

Jest rzeczą dobrą, że istniejące różnice poglądów zostały jasno uwydatnione, że obok klasycznego już u nas postulatu doprowadzenia do końca procesów likwidacyjnych wysunięte zostały popularne w opinji zagadnienia kursu inwestycyjnego, co pragniemy uwypuklić nie przesądzając merytorycznego stanowiska w tym zakresie.

Z natury rzeczy debata sejmowa nie mogła doprowadzić do zamknięcia się tego wachlarza, natomiast uwydatniła akcenty, posiadające pierwszorzędną wagę zarówno pod kątem widzenia sytuacji gospodarczej jak i nastrojów społeczeństwa.

Te podstawowe problemy, które stanowiły przedmiot największego zainteresowania w dyskusjach parlamentarnych, a przedewszystkiem czołowa i jaskrawo podkreślona konieczność znalezienia rozwiązania spraw, wynikających z wielkiego przyrostu naturalnego, będą musiały zaciążyć na kształtowaniu się dróg polityki gospodarczej.

Pamiętać przytem należy, że im szerzej i na im dłuższą metę ma być zakrojona polityka gospodarcza, tem większa jest potrzeba uporządkowania i shierarchizowania jej celów i środków.

STEFAN MEYER

POWOLNY PROCES

Raczej 2 — 3 lata głodu, niż podcięcie źródeł dochodu.

Powolnym jest proces dojrzewania umysłów do sytuacji. Dopiero z okazji obecnej dyskusji budżetowej, padły naprawdę ważkie słowa o konieczności dostosowania potrzeb państwa, do możliwości gospodarczych społeczeństwa. Dopiero obecnie.

Jeszcze dwa lata temu niektóre dzienniki nie chciały drukować o tem, że jesteśmy krajem i narodem biednym i że żyjemy nad stan a ponadto marnotrawimy kapitał w bezużytecznych inwestycjach. Jeszcze rok temu w dyskusji wysoki dygnitarz gospodarczy, na argument o konieczności dokrojenia wydatków do dochodu społecznego, odpowiedział, że zakres potrzeb, pokrywanych z budżetów publicznych, nie może być ograniczony, to też należy dochód społeczny podciągnąć do potrzeb społecznych. Różane złudzenie, że dochód może być podciągnięty do potrzeb bez ograniczania ich, choćby przejściowego, jest istotnie godne zazdrości.

Dopiero teraz. Dobrze jednakże, że nareszcie zabrano głos w dyskusji i oświetlono zagadnienie budżetowe ze strony gospodarczej.

Budżety publiczne, to wyrażony w pieniądzu wysiłek społeczeństwa, skierowany na zaspokojenie jego potrzeb.

Nie wszystkie potrzeby społeczeństwa zaspakajane są z budżetów publicznych. Część potrzeb zaspakajana jest wysiłkiem osób prywatnych, poza ramami publicznych budżetów.

W okresie rozwoju państwowości coraz szersze potrzeby zaspakajane są z budżetów publicznych, a kolejność włączania tych potrzeb jest mniejwięcej jednakowa. Najpierw budżety publiczne kryją koszt administracji, sądów, dworu, potem wojny, nakoniec opieki społecznej.

W okresach upadku państwowości, dochody skarbu nie są w stanie pokryć wszystkich potrzeb i coraz częściej ofiarność jednostek pokrywa potrzeby ogółu.

Za Justyniana Wielkiego koszty drugiej wojny italskiej pokrył Belizarjusz z własnych funduszów. Był to coprawda okres początku feodalizmu, gdy magnaci wyrastali ponad głowę państwa i trzeba było cnoty Belizarjusza, by środków swych użył nie przeciw władzy cesarza, a w jej interesie.

Gdy feodalizm się kończy, Ludwik XIV ujmuje w swe ręce wojsko , kładąc kres formacjom prywatnym i od tego czasu obrona narodu przechodzi z domeny budżetów prywatnych do budżetów państwa. Dziś wojsko prywatne istnieje w Europie tylko jako partyjne bojówki.

Do budżetu publicznego przechodzi w Europie po wojskowości oświata, potem lecznictwo, potem ubezpieczenia społeczne, nakoniec budownictwo mieszkaniowe. Coraz nowe funkcje przejmuje na siebie aparat publiczny, tworząc ad hoc coraz to nowe organy i przejmując inicjatywę z rąk prywatnych.

Środki na pokrycie tych potrzeb z różnych pochodzą źródeł: na potrzeby wojska i administracji — przeważnie z podatków, na potrzeby społeczne — często i z funduszów specjalnie w tym celu zgromadzonych. Czy to będą Trajana „pueri alimentarii", czy polska Komisja Edukacyjna, czy Fundusz Budowlany m. Warszawy z 1816 roku — początek akcji społecznej publicznej ma wielokrotnie podstawy finansowe w funduszu i ma początkowo charakter fundacji. Ale z biegiem czasu ten charakter się zatraca: kapitały funduszu zostają zjedzone, jak n. p. kapitały fundacji Trajana zużyte przez Komodjusza na załatanie dziur budżetowych, jak Fundusz Budowlany 1816 r. zużyty na budowę Wodociągów i Kanalizacji m. Warszawy. Potrzeby albo nie są pokrywane wcale, jak w wypadku pierwszym, albo są pokrywane inną drogą, jak w drugim przez powstałe w międzyczasie T-wo Kredytowe Miejskie, albo, jeśli idzie o dalszy ciąg pracy Komisji Edukacyjnej — pokrywane są z wpływów podatkowych.

Charakterystycznem dla epok wzrostu społecznego zaspakajania jest istnienie odrębnych budżetów różnych fundacji, zaspakajających oddzielne potrzeby.

Jak kucharka, która w portmonetce ma pieniądze od pani na kuchnię, w oddzielnej — własne fundusze, w węzełku chusteczki drobne, które ma wydać panience, jako resztę z jej pieniędzy, a w innym węzełku pieniądze na wydatki pani starszej, — tak i rachunkowość publiczna lubuje się w oddzielnych funduszach celowych, zapominając, że potrzeby są wspólne i gospodarstwo narodowe, którego wysiłek ma je pokryć, jest jedno, jak jednym był w tamtej rodzinie ojciec, od którego wszystkie sumy kucharczyne pochodziły.

Na to, by mieć jasny obraz, na jaki wysiłek ma zdobyć się społeczeństwo, należałoby utworzyć budżet wspólny, jak holdingi układają wspólne bilanse zrzeszonych i afiljowanych przedsiębiorstw. Dopiero przy takiej tablicy synoptycznej budżetów publicznych możnaby:

1-o stwierdzić istnienie dwutorowości, a więc podwójnego wykonania pracy, t. j. marnotrawienia wysiłku i

2-o zmierzyć prawdziwą wagę całego obciążenia i rozkład tej wagi.

Tu nasuwa się odrazu pytanie: jakie budżety powinny być w takiej tablicy podane? Czy i przedsiębiorstwa państwowe? czy i monopole? czy tylko monopole państwowe? czy też i skartelizowane przedsiębiorstwa prywatne? Czy Państwo i Związki Komunalne bez przedsiębiorstw oraz ubezpieczalnie społeczne? Które fundusze pozabudżetowe?

Aby na te pytania odpowiedzieć, sięgnijmy do

założeń. Idzie nam o to, w jaki sposób ciężar potrzeb, zaspakajanych z budżetów publicznych, odbija się na życiu gospodarczem, na upłynnieniu gospodarstwa narodowego, na szybkości wzrostu dobrobytu i stopy życiowej narodu.

Wzrost stopy życiowej, to nietylko wzrost dochodów nominalnych netto, ale i poziom cen detalicznych. Należałoby więc w wyimaginowanej tablicy synoptycznej umieścić te wszystkie budżety, których dochody odbijają się na cenie towarów i usług. Wszędzie więc, gdzie na rzecz funduszu pobiera się podatek lub opłatę celową, zmniejszającą dochód netto płatnika, lub zwiększającą cenę rynkową usługi lub towaru, — np. Fundusz Drogowy, Fundusz Budowlany, Wojskowy Fundusz Kwaterunkowy, — powinny być więc w tej tablicy umieszczone tak samo jak każdy monopol lub syndykat w sumie inkasa ponad wartość świadczeń. Tu schodzimy na śliski grunt ceny słusznej, której jedyną miarą jest właściwie konkurencja. A szkolnictwo prywatne? W sumie zapomóg z budżetów publicznych. A monopole prywatne? Tu zagadnienie jest trudniejsze, bo nie każdy monopol prywatny przekracza ceny konkurencyjne.

Dopiero, posiadając taką tablicę synoptyczną możnaby badać dalej.

Homo oeconomicus dochód ponad bezpośrednie swoje potrzeby konsumcyjne oszczędza. Początkowo jako zapas na późniejszą konsumcję, później jako kapitał — narzędzie pracy. Tylko ta ostatnia oszczędność jest kapitalizacją, jest interesującą z punktu widzenia rozbudowy bogactwa narodowego.

Budżety publiczne, jak każdy wspólny wysiłek, via uposażenia, zmieniają kapitał publiczny na siłę nabywczą.

Potem konwertują kapitał płynny prywatny na kapitał nieruchomy użyteczności publicznej. a niestety często i bezużyteczności publicznej. Przez kilka lat hołdowano w Polsce zasadzie, że co prywatny człowiek by roztrwonił, to państwo celowo skapitalizuje i ta doktryna była matką wielu budowli i inwestycyj, z których dużo chybionych, bądź bezużytecznych.

Kapitalizacja via budżety publiczne wpływa 1-o na zmniejszenie płynności rynku, 2-o na zmniejszenie dochodu indywidualnego przedsiębiorcy, a więc 3-o — na zmniejszenie jego inicjatywy. Dochody prywatne, będące podstawą budżetów publicznych, są wstrzymane w rozroście, a natomiast, l'appetit vient en mangeant, coraz więcej potrzeb społecznych przerzuca się na państwo. Dyskusja o „kulturze za 5 groszy“ jest tego najlepszym przykładem.

W końcu dochodzimy do stanu, gdy dochody zawodzą. Ustawy podatkowe bądź są łamane, bądź, jak epibole bizantyńska, prowadzą do wyludnienia całych okręgów. Państwo, dążąc do zwiększenia dochodów, upaństwawia jedną gałąź przemysłu po drugiej, a ludność wskutek tego traci materjalne podstawy bytu. Zetatyzowany przemysł Rzymskiego imperjum przestał być źródłem narodowego bogactwa. Bogactwo Byzantyńskiego Carstwa pomimo monopolów istniało, bo oparte było na eksploatacji obcokrajowców — na handlu międzynarodowym.

Sztuka budżetowania, to sztuka pokrywania największej ilości potrzeb społecznych z najmniejszym uszczerbkiem dla życia gospodarczego. Stąd arystokratyzm rządów w Rzymie jako najtańsza forma rządów i obojętność państwa wobec wielu spraw, które dziś są przez państwo regulowane. Okres upadku cesarstwa, to właśnie te czasy, gdy państwo już we wszystko się wtrąca, łącznie z oświatą publiczną.

Sztuka budżetowania w Polsce, to zwalenie na barki indywidualne tych potrzeb publicznych. które nie mogą być normowane przez państwo.

Jesteśmy krajem i narodem biednym. Ubóstwo na tem polega, że nie można wszystkich potrzeb zaspokoić. Nie stać nas nietylko na zbytki, ale i na rzeczy potrzebne.

Tu dopiero w całej pełni uwypukla się waga hierarchji celów, o którą Gospodarka Narodowa walczy od początku swego istnienia. Dopiero ustalenie, które zadania państwa, wzgl. ogółu są ważniejsze, a które mniej ważne, umożliwi nam odpowiedź na pytanie, na co skierować drogą budżetów publicznych z trudem wyciśnięty wysiłek narodu.

A inne potrzeby? Będą łatane z budżetów i wysiłkiem prywatnym. Tak jak za rządów najeźdźców nauka w Polsce była rozsiewana wyłącznie wysiłkiem prywatnym, jak gros potrzeb szpitalnictwa i wiele innych. Będą zaspakajane źle, kulawo, ale bez podcinania źródeł przyszłego bogactwa.

Jest to cechą ubóstwa, że istota zubożała cofa się gospodarczo i kulturalnie. Że musi za zbytek uważać to, co dawniej uważała za normalną potrzebę. Ale lepiej zawczasu ograniczać swe wydatki, nie podcinając źródeł dochodu, aniżeli przepompowując kapitał pracujący zarobkowo, drogą poprzez budżety publiczne, na siłę nabywczą, wzgl. kapitał nie rentujący się, — narazić się na zupełną martwotę w przyszłości.

Proces zaciskania pasa jest procesem bardzo bolesnym. Ale jeśli zbyt powolnym, to bezskutecznym, a bezskuteczne okrawywanie naszych potrzeb, byłoby największym gospodarczo absurdem i nieszczęściem.

Proces ten należy przyspieszyć. Przeciąć nie co niezbędne, ale co możliwe. Raczej 2 — 3 lata potrzeb pokrytych poniżej możliwości, aniżeli 2 — 3 bezskutecznych oszczędności.

Świadomie nie poruszam w granicach tego artykułu zagadnień:

a) hierarchji celów,

b) dróg zmniejszenia ciężarów,

choć oba zagadnienia mają kapitalne znaczenie dla powodzenia operacji. Pominąłem też tak ważne dla budżetowania zagadnienie

c) stałości waluty,

ważniejsze, niżby się zdawać mogło wpatrzonym w ideał waluty złotej polakom. Nie widzimy, jak wraz ze złotą jednostką monetarną rosną ciężary, a nie rosną wpływy. Deflacja jest tu równie niebezpieczna, jak inflacja.

Są to wszystko bardzo obszerne tematy; opracowanie ich jest procesem bardzo powolnym.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

PLAN i DZIAŁANIE Z. S. R. R.

Przez długie lata istota sowieckiej polityki gospodarczej, a w szczególności kierunek, w jakim ona zmierza, były dla Europy zagadką. Przyczyniała się do tego oczywiście odmienność ustroju, ale w jeszcze większym stopniu zmienność form organizacyjnych i metod działania w sowieckiem życiu gospodarczem. Zmienność ta wywoływała w opinji europejskiej różnorodne komentarze i fantastyczne przepowiednie co do przyszłości Z. S. S. R. Opinja europejska bowiem nie brała pod uwagę ani niezmienności celu, jaki przyświecał twórcom przewrotu, ani giętkości djalektycznego myślenia. Dziś, patrząc z perspektywy lat siedemnastu możemy stwierdzić, że ustawiczne zmiany form i metod działania w Z. S. S. R. były nie tyle wyrazem wahania „co robić" — ile „jak robić". Słowem było to szukanie właściwej drogi.

Szukaniem drogi był NEP. Szukaniem drogi był również pierwszy plan pięcioletni, aczkolwiek towarzyszyło mu złudzenie, iż znaleziono właściwą drogę. Ale już po dwu latach przyszło rozczarowanie. Cały okres poszukiwania drogi cechuje zygzakowatość linji polityczno - gospodarczej i płynność form organizacyjnych. Nagłe „zakręty" w polityce gospodarczej Z. S. S. R. dezorjentowały nietylko zagraniczną opinję publiczną, nietylko opinję ludności państwa sowieckiego, ale nawet i szerokie sfery partji komunistycznej. Zmianom tym towarzyszyła głucha walka wewnątrz partji, ale, rzecz znamienna, walka ta nie pociągała za sobą ostrych represyj, a niektórzy przeciwnicy tych lub innych posunięć Stalina, np. Rykow, pozostawali nawet dość długo na swych stanowiskach. Dziś odnosi się wrażenie, że dokonywane w tym czasie represje wewnątrz partji miały charakter jedynie kar dyscyplinarnych za naruszenie sildarności organizacyjnej, a nie środków walki z prawdziwymi przeciwnikami politycznymi, których się łamie i niszczy w poczuciu swej bezwzględnej słuszności. Tego poczucia, poczucia całkowitej pewności, iż droga została wybrana dobrze, nie było.

Bezpośredniem zadaniem, postawionem przez pierwszy plan pięcioletni, było uprzemysłowienie ZSSR. Opracowano plan materjalny — to znaczy ilość, rozmiary i rozmieszczenie geograficzne przyszłych zakładów przemysłowych oraz plan finansowy. Plan materjalny uległ rewizji już w drugim roku „pięciolatki". Krytykę tej części planu przeprowadzono na procesie sądowym Ramzina, gdzie razem z nim zasiadło na ławie oskarżonych dużo autorów pierwszego planu pięcioletniego. Najbardziej widocznym rezultatem rewizji było przesunięcie gros nowych inwestycyj do okręgu uralo - kuźnieckiego i poniechanie niektórych inwestycyj na kresach. Skorygowano niektóre błędy techniczne i uwzględniono lepiej względy strategiczne, słowem chodziło tu o racje pozagospodarcze, które nie naruszały zasadniczo ekonomicznej struktury pierwotnego planu, i które same przez się nie zagrażały uniemożliwieniem podjętej rozbudowy przemysłu. Tę groźbę stworzyło dopiero niewykonanie planu finansowego.

Środki finansowe na inwestycje miały być w 78% dostarczone z budżetu, a w 22% pokryte ze środków własnych przemysłu. Głównem źródłem dochodowem budżetu był podatek obrotowy i akcyzy, obciążające wszelkie dobra przeznaczone do bezpośredniego spożycia. Produkcja tych dóbr miała wzrastać. Ponadto zaplanowano, iż koszty własne dóbr konsumcyjnych spadną o 35%, ceny zaś zostaną obniżone o 17%. Wzrost produkcji dóbr konsumcyjnych i wzrost marży zysku miały powodować stały wzrost sum przeznaczonych na inwestycje. Koszty własne wytwórczości środków produkcji miały również spadać, a ceny, w odróżnieniu od cen dóbr konsumcyjnych, miały być zniżane równolegle do spadku kosztów wytwórczości. Tak więc równolegle ze wzrostem środków na inwestycje miały spadać ich koszty. Było to zbyt piękne. Nie udało się.

Niemożliwem jest w ramach artykułu opisać i zanalizować wszystkie przyczyny tego niepowodzenia. Zrobimy to więc tylko schematycznie. Szybkie tempo uprzemysłowienia spowodowało angażowanie do pracy dużej ilości sił niekwalifikowanych, co w rezultacie dawało spadek przeciętnej wydajności pracy i niszczenie instalacyj przez nieumiejętne z niemi obchodzenie się, co w dalszym ciągu obniżało wydajność pracy i podrażało koszta własne. Plan zwiększenia produkcji dóbr konsumcyjnych nie został wykonany, dlatego, że indywidualnie gospodarujące rolnictwo nie zwiększyło produkcji surowców rolniczych, gdyż uprawa tych surowców nie opłacała się rolnikowi. W celu zmuszenia rolnictwa do wykonywania zadań planowych rozpoczęto kolektywizację. Na to jednak chłopi odpowiedzieli sabotażem uprawy ziemi i rzezią bydła. Dochodowość rolnictwa spadła a ponadto uległa daleko idącemu pogorszeniu aprowizacja miast, co nie mogło pozostać bez wpływu na wydajność pracy w przemyśle. Koszty produkcji zamiast spadać zaczęły rosnąć. Plan gromadzenia środków finansowych na inwestycje załamał się.

Luki w środkach finansowych łatano doraźnie emisją, pozatem ograniczono inwestycje, koncentrując siły i środki na najważniejszych objektach. To były paljatywy. Odrazu jednak rozpoczęto próby usunięcia zła u podstaw i osiągnięcia dochodowości przemysłu. Prosty środek — ogólne podniesienie cen, był niepożądany politycznie, a ponadto podrażałby inwestycje. Stworzono więc dwie ceny: dla normowanego podziału i cenę konwencyjną znacznie wyższą. Pierwsza była płacona

przy wykonywaniu zamówień planowych oraz, za artykuły konsumcyjne w zamkniętych rozdzielniach[1]). Ceny konwencyjne płacono w tranzakcjach nie objętych planem centralnych instytucyj, oraz w sklepach państwowych w sprzedaży z wolnej ręki. Ponadto wskrzeszono ideję „chozraszczota" — rozrachunku gospodarczego. Przedsiębiorstwa musiały odtąd gospodarować w/g planów finansowych i nie liczyć na pokrywanie ich deficytów przez skarb państwa. Bankom powierzono kontrolę nad gospodarką finansową przemysłu. Odbywało się to pod hasłem „kontrola rublem". Towarzyszyły im enuncjacje kierowniczych czynników o dużem znaczeniu pieniądza na „obecnym etapie". W rolnictwie sytuacja była analogiczna, gdyż kolektywom zezwolono sprzedawać na rynku swoje produkty według cen konwencyjnych po wykonaniu dostaw dla państwa. Państwo zatem otrzymywało tanio towary dla ważniejszych inwestycyj i dla normowanego podziału, a wyższe ceny konwencyjne za pozostałe po zaspokojeniu tych potrzeb towary miały zapewnić przedsiębiorstwom przemysłowym i kolektywom ogólną rentowność a conajmniej równowagę ich bilansów. Zarządzenia te dały pewne pozytywne rezultaty, ale system podwójnych cen (pozatem były jeszcze spekulacyjne ceny wolnego rynku) miał duże wady. Przedewszystkiem źle wpływał na jakość wytwórczości przemysłowej, gdyż towary wybrakowane przy dostawach „urzędowych" można było sprzedawać po cenach konwencyjnych, to znaczy drożej, niż produkcję pierwszego gatunku. Pozatem kalkulacja przy podwójnych cenach była zbyt trudna i uniemożliwiała istotną ocenę kosztów własnych na jednostkę towaru, a tem samem i istotną realizację „chozrasczotu". W rolnictwie zaś system dwuch cen nie obejmował surowców rolniczych, gdyż te miały nabywców wyłącznie w osobie przetwórczego przemysłu, kupującego po stałej państwowej cenie.

System dwuch cen nie stworzył zatem dostatecznych podstaw dla rentowności przemysłu i rolnictwa, ale był krokiem naprzód. Najważniejsze zaś jest to, że zmusił jednostki gospodarcze do kalkulowania i do liczenia się z pieniądzem, stał się bodźcem do wykonywania planów finansowych. Doskonałe natomiast rezultaty dał w handlu. Handel państwowy zaczął dawać duże dochody, przelewane do budżetu państwowego. Rola tego źródła po stronie dochodowej budżetu zaczęła gwałtownie wzrastać.

Ustanowienie konwencyjnych cen było bodźcem dla instytucyj gospodarczych. Dla wzmożenia zaś indywidualnych wysiłków robotników i pracowników w kierunku podniesienia wydajności pracy rozbudowywano również powoli i systematycznie cały system bodźców. Początkiem były akordowe stawki płacy, później przyszło restytuowanie w procesie produkcji kierowniczej roli inteligencji technicznej, podnoszenie płac kwalifikowanych sił technicznych, i uprzywilejowanych w normowanym podziale. Wprowadzenie sprzedaży towarów w sklepach państwowych z wolnej ręki uczyniło zwyżkę płacy realną korzyścią.

Opisane powyżej posunięcia nie przeszły bez oporu. Tendencja do zrównania płac t.zw. „urawniłowka" była popularna w masach robotniczych. Rozwój handlu państwowego był krytykowany przez tych, którzy uważali, że nieodłączną cechą socjalizmu jest podział normowany. Ale gospodarcze wyniki tych posunięć wyglądały zachęcająco. I tu w końcu 1931 roku kończy się, jak się zdaje, poszukiwanie drogi.

W lutym 1932 roku szef sowieckiego rządu, Mołotow, oświadcza na zjeździe partyjnym, że ustrój sowiecki wkracza w fazę bezklasową, w której regulowanie podziału dóbr na innej podstawie, jak rola jednostki w produkcji jest niewskazane. Normowanie podziału powinno być zatem zarzucone i należy przejść do planowania przy pomocy zarobku i ceny. Towarzyszyły temu ponowne potwierdzenia enuncjacji o decydującej roli pieniądza na danym etapie.

Po tych enuncjacjach następuje długi szereg zarządzeń: tworzy się banki długoterminowego kredytu, którym zostaje powierzona kontrola ruchu inwestycyjnego, przedsiębiorstwom wydziela się kapitały obrotowe, nie wycofuje się wszystkich wygospodarowanych zysków, licytuje się „bankrutów", przywraca się system terminowych i zwrotnych kredytów, budżetowemu finansowaniu nadaje się charakter celowy, i kontroluje się zużycie sum. Pieniądz zaczyna być cenny.

Sieć handlu państwowego ulega systematycznej rozbudowie. Liczba punktów handlowych od początku 1932 do kwietnia 1934 roku wzrasta prawie dwukrotnie, obroty w ciągu dwu i pół lat wzrastają czterokrotnie, oczywiście kosztem normowanego podziału. Obroty sklepów państwowych, sprzedających z wolnej ręki, bez kartek, osiągają w I półroczu 1934 roku 47 proc. ogólnej sumy obrotów całego aparatu rozdzielczego, a w miastach— 52 proc. Równolegle jest nacisk w kierunku odpowiedniego opracowania taryfy płac zarobkowych.

Ceny w sklepach państwowych były wyższe, niż w zamkniętych rozdzielniach, ale znacznie niższe niż na wolnym rynku. Ten ostatni grał zresztą poważną rolę tylko w dziedzinie płodów rolnych sprzedawanych przez kolektywy. Systematyczny wzrost sprzedaży w sklepach państwowych, zmuszał i wolny rynek do obniżki cen. Różnica między tymi dwoma rodzajami cen stale malała. Wreszcie nastąpiła „sensacyjna" decyzja o poniechaniu sprzedaży chleba na kartki. Sensacja dla zagranicy byłaby znacznie mniejsza, gdyby odrazu było wiadomo, że w momencie ogłoszenia tej decyzji już 40 proc. ogólnej ilości konsumowanego chleba sprzedawano bez kartek. Wspomniana decyzja była tylko zakończeniem powolnej ewolucji. Cena chleba została wypośrodkowana między ceną normowaną i ceną sklepów państwowych, a zatem niżej od tej ostatniej. To spowodowało dalszy spadek ceny na wolnym rynku.

Podniesieniu ceny chleba w stosunku do byłej ceny normowanej odpowiada podniesienie cen płaconych rolnictwu za dostawy państwowe, przy

[1]) „Zakrytyj rosprodielitiel" w terminologji sowieckiej.

czem dla równowagi podniesiono i ceny za rośliny techniczne. Różnorodność cen w poszczególnych odcinkach życia gospodarczego zbliża się do całkowitej likwidacji a rubel do całkowitej rehabilitacji, do roli powszechnego, jedynego miernika wartości.

Jak widzimy Sowiety prowadzą tę politykę już od trzech lat. Jest ona wynikiem długiego szeregu doświadczeń. Metody i środki działania zostały wybrane po wielu próbach, zarzucaniach i ponownych nawrotach. Ale od trzech lat kierunek polityki gospodarczej jest niezmienny. Hierarchja celów w czasie i przestrzeni wydaje się ostatecznie ustaloną, gdyż następujące po sobie poszczególne posunięcia są dokonywane w sposób tak widocznie planowy, powiązane ze sobą tak logicznie i konsekwentnie, poszczególne etapy są przygotowane zgóry tak starannie i systematycznie, że śledzenie sowieckiej polityki gospodarczej od 1932 roku sprawia to samo wrażenie, co czytanie dzieła zawierającego dobrze skonstruowany system myślowy. Wyniki praktyczne tej polityki wyglądają również dość zachęcająco. Oczywiście wiele jest jeszcze wad i usterek i to o bardzo poważnem znaczeniu. Ale wydajność pracy przez ostatnie dwa lata wzrosła. Koszty własne zmalały. Te dwie okoliczności w związku z rehabilitacją pieniądza jako miernika wartości i środka kontroli wyników działalności poszczególnych jednostek gospodarczych dały w dalszej konsekwencji uporządkowanie i poprawę gospodarki finansowej przedsiębiorstw oraz skarbu państwa.

Analiza sytuacji gospodarczej ZSSR. uprawnia zatem do twierdzenia, że kierunek Sowieckiej polityki gospodarczej jest definitywnie ustalony, przynajmniej na taki okres czasu jaki się bierze normalnie pod uwagę we wszystkich praktycznych rachubach gospodarczych i politycznych. Wniosek ten potwierdzają i wydarzenia polityczne na terenie ZSSR. Zarówno mord na osobie Kirowa jak i reakcja na niego władz sowieckich wykazują, że dyskusja wewnętrzna w partji komunistycznej na temat wyboru drogi skończyła się. A skoro dyskusja skończona, to opozycja od wewnątrz nie może być uznana nadal za rzecz normalną. Dziś kwalifikuje się ją jako postawienie się poza nawias partji.

UWAGI

CŁA i KARTELE

Na terenie włókiennictwa zarysowują się dwie tendencje polityczno - gospodarcze, które warto zestawić i właśnie w zestawieniu — przemyśleć.

Odbywają się pertraktacje w sprawie odnowienia umowy kartelowej w przemyśle przędzalniczym. Grupa, która żąda zmiany konstrukcji kartelu, wyraża pogląd, że skoro dawny kartel nie potrafił osiągnąć celu, do którego był powołany t. j. nie spowodował zwyżki cen przędzy, to należy go ulepszyć, zintensyfikować jego działanie, uniemożliwić produkcje pozakartelową — w ten sposób osiągnie się zwyżkę cen i dojdzie się do rentowności przędzalnictwa.

Druga sprawa, o którą tu chodzi, to cła projektowane na artykuły włókiennicze w związku z traktatem z Anglją. Jak wiadomo, dotychczasowa taryfa celna była prohibicyjna. Ostatnio strona polska zaakceptowała zmiany stawek celnych, idące w kierunku obniżenia ich o tyle, że angielski import włókienniczy staje się obecnie możliwy.

Mamy więc przed sobą dwie tendencje polityczno - gospodarcze: jedną pro - kartelową, drugą — do pewnego stopnia liberalną — tendencję celną. Są to tendencje głęboko ze sobą sprzeczne i, oczywiście, sobie przeciwstawne, gdyż pierwsza idzie pod znakiem zwyżki cen, podczas gdy druga w sposób konieczny wiąże się ze zniżką cen. Tej sprzeczności nie zmniejsza, oczywiście, ta okoliczność, że zniżki celne nie były przez przemysł upragnione, lecz zostały mu raczej narzucone.

Otóż faktem jest, że musimy się teraz liczyć z angielskim importem włókienniczym. Prezes związku wielkiego przemysłu włókienniczego p. Aleksander Heiman - Jarecki w wywiadzie udzielonym miejscowej prasie, wypowiedział pogląd, że import ten nie będzie dla nas szkodliwy, a nawet przeciwnie: pożyteczny, gdyż zmusi nasz przemysł do zwiększenia sprawności produkcji i przystosowania się do niższego poziomu cen. Zachowanie się ogółu przemysłowców łodzkich niegłoszących poglądu przeciwnego, jeżeli nawet nie potwierdza w całej rozciągłości zacytowanej opinji, to w każdym razie oznacza pogodzenie się z nowym stanem rzeczy. A więc przemysł w obliczu angielskiej konkurencji *uznaje objektywną konieczność obniżenia cen.*

W tych warunkach tendencje pro-kartelizacyjne, panujące w pewnym odłamie przemysłu są poprostu niezrozumiałe i to niezrozumiałe dla każdego — bezwzględu na jego subjektywne zapatrywania w sprawie karteli. Bo gdyby nawet było prawdą, że kartel przędzalników „robi" rentowność poprzez zwyżkę cen, to wszak przemysł z tej zwyżki nie będzie miał żadnej trwałej korzyści, gdyż owa zwyżka, a wraz z nią i rentowność — zostaną ponownie zduszone wskutek działania zliberalizowanej taryfy celnej. Właśnie w tym wypadku dobitnie zarysuje się ścisły związek, jaki częstokroć zachodzi pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną polityką gospodarczą i nastąpi „równanie" na konieczności, z zewnątrz przychodzące.

Najważniejszy w tem wszystkiem jest jednak nie fakt sprzeczności polityczno-gospodarczej, w którą pewien odłam przemysłu włókienniczego wpada, a którą życie usunie. Stokroć ważniejszy jest ten głęboki zasadniczy związek, który zachodzi pomiędzy rentownością przemysłu a kosztami z jednej strony oraz pomiędzy kosztami a działaniem karteli i ceł z drugiej strony.

Rentowność przemysłu jest funkcją nie jednego czynnika-ceny, lecz dwuch czynników: ceny i kosztów. O tem zapominają ci, którzy głoszą ha-

sło „ceny minimalnej" i operują pojęciem „niedostatecznego zysku przedsiębiorcy".

Rozumowanie ich jest zgruntu błędne. Gospodarstwo liberalno-kapitalistyczne, jakiem w rdzeniu swoim jest nasze gospodarstwo, nie zna ani „ceny minimalnej" ani „niedostatecznego zysku"— jako kategorji generalnych. Zjawiska te poprostu *nie istnieją, niema ich*. Cena nierentowna dla jednego przędzalnika może być nietylko dostateczna, ale wprost nawet doskonale opłacalna dla drugiego przędzalnika. Na terenie Łodzi, Białegostoku, Bielska i innych ośrodków włókienniczych ta prawda ciągle się ujawnia, gdyż przy wspólnej cenie rynkowej istnieją najrozmaitsze przedsiębiorstwa, które zarabiają mniej lub więcej, podczas gdy inne wegetują, a jeszcze inne zawieszają wypłaty. Miarodajną ceną rynkową jest cena, wynikająca z podaży i popytu, nie zaś cena, która pewnym przedsiębiorstwom gwarantuje egzystencję wzgl. zyski nadmierne w stosunku do ich „zasług" gospodarczych.

Skala rentowności jest bardzo szeroka przy wspólnej cenie rynkowej, bo różne jest rozpięcie *kosztów* produkcji w różnych warsztatach pracy, bo różny jest stopień ich doskonałości techniczno-organizacyjno-handlowej. Tutaj, w kosztach, leży punkt ciężkości zagadnienia rentowności, tutaj w indywidualnej konstrukcji kosztów w znacznej mierze przełamuje się społeczno-gospodarcza wartość przedsiębiorstwa. To też rentowność powinno się dedukować z indywidualnej marży zarobkowej, nie zaś indukować z kosztów drogo produkujących przedsiębiorstw.

Co zaś czynią cła i kartele? Czego chcą protekcjoniści i pro-kartelowcy? Wychodzą oni z założenia, że cena, realnie wynikająca z wolnego układu rynkowego, jest rzeczą niedostateczną, że trzeba dbać o ustalenie stosunkowo wyższego poziomu cen, jednem słowem—mówiąc dobitnie—chodzi nie o zysk przedsiębiorcy, lecz o rentę celną i kartelową.

Rozumiemy doskonale, że w dzisiejszych warunkach doktryna wolno-konkurencyjna nie może być absolutnem założeniem naszej polityki gospodarczej, wcale nie myślimy zalecać otwierania granic Polski przed importem w chwili, gdy eksport nasz natrafia na zamknięte drzwi wszystkich krajów. Chodzi nam jedynie o pokazanie na przykładzie włókienniczym, do czego prowadzi metoda myślowa, zasadniczo sprzeczna z wymienioną doktryną. Oto w momencie, gdy *musimy* akceptować import z Anglji pewien odłam przemysłu chce wzmocnić kartel przędzalników, którego cele wobec tego importu ostać się nie mogą. Zamiast wzmacniać beznadziejny kartel, należy raczej myśleć o realnem przystosowaniu się do nowego stanu rzeczy, w którym *musimy* wykrzesać z siebie większą sprawność gospodarczą i potanić naszą produkcję. Jak to osiągnąć?

Pojawił się w tej sprawie następujący projekt: zaprowadzić daleko idącą specjalizację, opartą na zasadzie, aby dany gatunek towaru wytwarzany był tylko w jednej fabryce. W ten sposób — zdaniem autorów tej myśli — rynek towarów włókienniczych, a raczej jego skala gatunkowa, zostałaby podzielona na „strefy wpływów" pomiędzy poszczególne fabryki, które — produkując większe ilości danego gatunku, zwiększając „masowość" produkcji — osiągnęłyby jej potanienie i mogłyby się „rozprawić" z angielską konkurencją.

Zapytywaliśmy w tej sprawie doskonałego fachowca o zdanie, aby stwierdzić, czy tego rodzaju nastawienie, a raczej przestawienie się naszych fabryk mogłoby zrealizować postulat taniości. Opinja ta wypadła, niestety, negatywnie . Nasz informator wypowiedział pogląd, że skoro już mowa o gruntownej reorganizacji produkcji, to chodziłoby nie o to, by dany artykuł był wyrabiany *tylko w danej fabryce*, lecz by jedna cała fabryka, lub liczne całe fabryki wyrabiały *tylko dany towar*. Tylko racjonalizacja w tej skali — w skali japońskiej czy amerykańskiej — byłaby rzec ą skuteczną. Niestety, na taką racjonalizację nas nie stać: ani pod względem kapitałowym ani nawet ze względu na pojemność rynku.

W obliczu możliwości angielskiego importu bije rzeczywiście ostatnia już godzina w sprawie wyboru metod „ratowania rentowności włókiennictwa". Kartel przędzalników, uniemożliwiając poszczególnym przedsiębiorstwom pełne wyzyskanie maszyn, uniemożliwia tem samem osiągnięcie maksymalnej taniości towaru, podczas gdy zwłaszcza w obecnej sytuacji na tem maximum naszemu gospodarstwu społecznemu musi zależeć. To też metoda kartelowa z natury swej jest zarazem metodą pro-importową. Natomiast rzeczywistym i jedynie realnym sposobem przeciwstawienia się importowi jest przedsięwzięcie zupełnie zwykłych indywidualnych wysiłków na terenie poszczególnych warsztatów pracy w kierunku udoskonalenia ich organizacji i potanienia kosztów.

Niełatwa, a nawet bolesna będzie ta nauka życia, którą poprzez obniżki celne odczuje skartelizowany przemysł łódzki w momencie wejścia w życie traktatu polsko-angielskiego.

Stanisław Lauterbach.

PRZEMYSŁ LUDOWY

Na pytanie: co to jest przemysł ludowy? — odpowiedź, jakby się zdawało, jest łatwa do udzielenia. Spróbujmy jednak „podejść" do tego problemu od strony tak prawnej, jak i — co ważniejsza — praktycznej, a przekonamy się, z jakiemi spotkamy się trudnościami.

Pojęcia przemysłu ludowego żadna jeszcze polska ustawa nie potrafiła sprecyzować. Jak wiadomo „omnis definitio in iure periculoca": stąd też prawo przemysłowe z 1927 r., znowelizowane w 1933 r., zadowala się odesłaniem tej kwestji ad acta, t. j. chciałem powiedzieć — do rozporządzenia wykonawczego dwuch niezawsze zgodnych ze sobą ministrów: przemysłu i handlu oraz opieki społecznej.

Nieśmiałe próby zdefinjowania pojęcia: przemysł ludowy, — podkreślają: 1) wykonywanie go przez ludność *miejską*, 2) z własnych *lub* nabytych materjałów (surowców), 3) we własnych war-

sztatach, 4) *samodzielnie* lub z pomocą członków, *rodziny,* 5) w zakresie przedmiotów *użytkowych i zdobniczych,* 6) które posiadają t. zw. cechy etniczne i 7) są oparte o miejscową *tradycję* ludową. Przyznać należy, iż właśnie taka—niewątpliwie b. obszerna—definicja odpowiadałaby „najbardziej wybrednym wymaganiom", gdyż słusznie umiejscawia ona przemysł ludowy na *wsi,* ściślej — u *chłopa,* odnosi się zarówno do rzeczy ozdobnych czy zbytkownych, jak i do przedmiotów użytku, wymaga związania z lokalnym i to tradycyjnym „kolorytem" (w szerokim sensie tego wyrazu), odsuwa na bok fabryczny czy chałupniczy, a nawet domowy przemysł „artystyczny" i pozwala na przerób nietylko własnych, lecz i nabytych surowców (lnu, wełny, drzewa itp.). Należy mniemać, że tak wielostronne ujęcie będzie miało i odpowiednie znaczenie praktyczne, albowiem wprowadzi na rynek możliwie szeroko pojętą produkcję przemysłową wsi, o ile to nie jest produkcja rzemieślnicza (co jest rzemiosłem — wyjaśnia i wyszczególnia art. 142 ustawy przemysłowej) lub też przemysł domowy. Ten ostatni, najbardziej zbliżony do t. zw. przemysłu ludowego, różni się odeń jedynie tem, że dotyczy przedmiotów, nie posiadających „kolorytu" etnicznego, oraz tem, że uprawiać go może również ludność miejska. Wspólną cechą tych dwuch przemysłów jest zato *uboczny* charakter zatrudnienia zarobkowego, podczas gdy i rzemiosło i chałupnictwo są *głównem* źródłem utrzymania. Wartoby jeszcze dodać, że przemysł ludowy i rzemiosło posiadają wspólny rys charakterystyczny: *samoistność* gospodarczą właściciela warsztatu, której niema w chałupnictwie i najczęściej w przemyśle domowym. Wreszcie należy podkreślić, że przemysł ludowy domowy, i chałupniczy (ściślej: praca chałupnicza) tem się różnią od rzemiosła, iż nie posiłkują się pracownikami najemnymi.

Praktyka życiowa nie układa się tak jasno i prosto, jak będące jeszcze „in statu nascendi" definicje przemysłu ludowego. Dla jednych działaczy i konsumentów przemysłem ludowym są wyroby szkół i zakładów, posiadające wspomniane „cechy etniczne" czyli poprostu „motywy ludowe": drudzy zwężają ten przemysł wyłącznie do tkanin ozdobnych (kolorowych), garnków (koniecznie malowanych) lub zabawek „w stylu ludowym", nie chcą zaś słyszeć o zwyczajnem lnianem płótnie na koszule lub, nie daj Boże, worki do cukru; trzecia grupa upiera się przy uznawaniu każdego, dajmy na to, fabrycznego kilimu za wytwór przemysłu ludowego. W tej dziedzinie panuje zatem wielki chaos pojęć i — co gorsza — konsekwencyj, albowiem każda szanująca się pani starościna usiłuje na swój sposób „popierać" przemysł ludowy, a i w stolicy zgoła inaczej wyobrażają sobie ten przemysł, niż w Wilnie lub Lwowie.

W dzisiejszym stanie rzeczy istnieją na dobrą sprawę tylko dwa ośrodki przemysłu ludowego w sensie wspomnianej na początku definicji: województwa kresowe b. zaboru rosyjskiego i Huculszczyzna. Nie znaczy, to, by przemysł ludowy nie istniał na Pomorzu, w górach świętokrzyskich, na Kurpiach, pod Włodawą, w krakowskiem, na Śląsku lub województwie tarnopolskiem. Faktem jest jednak, że tylko ziemie wschodnie mają ten przemysł, ujęty w jakie takie ramy organizacyjne i handlowe, Huculszczyzna zaś posiada określoną markę i stosunkowo znaczny zbyt (acz niezawsze właściwie postawiony). Podkreślić przytem należy, że właściwy sens przemysłu ludowego uchwycono, ściśle biorąc jedynie w Wilnie, skąd promieniuje dzisiaj na Białystok, Nowogródek, Brześć i Łuck zdrowa koncepcja wprowadzenia na wieś środków pieniężnych wzamian za towar przemysłowy, wyprodukowany w warsztacie chłopskim z rodzimych, właściwych danemu terytorjum, surowców. Stworzona przed paru laty (z dużą pomocą finansową ze strony Państwa) sieć t. zw. Bazarów Przemysłu Ludowego z Centralą tychże w Wilnie doprowadziła dzisiaj do tego, że zastrzyk „żywej gotówki" do wsi kresowej równa się sumie niespełna 2 miljonów zł. rocznie. Prawda, że gros tych tranzakcyj dokonane zostało z wojskiem, prawdą jest jednak i to, że organizacje kresowe nie ograniczyły się do ładnej lecz skromnej w efekcie zabawy w snobizm artystycznej produkcji ludowej i zorganizowały *masowy* skup tkanin *użytkowych,* nie wahając się nawet udzielać chłopu zamówień na tyle to a tyle metrów białego czy szarego płótna.

Podkreślając ten właśnie kierunek, przyjęty za Bugiem, czynimy to nie bez satysfakcji, tembardziej, że na lewym brzegu Bugu panuje zupełnie inne „nastawienie", któremu trudno przyklasnąć. Starsza genetycznie i zamożniejsza od kresowej organizacja warszawska przechodzi od szeregu lat permanentną reorganizację, dzięki czemu lub też pomimo czego panuje w niej duch artystycznego snobizmu z wybitnem lekceważeniem strony komercjalnej. Niewspółczesny system sprzedaży odbywa się tutaj pod przykrywką fałszywego refrenu: „To jest przecież robota społeczna", a jak wygląda strona handlowa, świadczy asortyment, minimalnie zahaczający o przemysł ludowy terytorjum b. Kongresówki, bo — dalibóg — nie może być zadaniem organizacji warszawskiej li tylko komisowa sprzedaż „pieszczących oko" wyrobów Wileńszczyzny i Huculszczyzny.

Jest przytem rzeczą nader ciekawą, że stworzona ze środków publicznych Kasa Spółdzielcza dla Przemysłu Ludowego i Domowego w Warszawie: 1-o w słabym stopniu obsługuje sieć bazarów, które wolą korzystać z elastyczniejszej polityki finansowej Państwowego Banku Rolnego, a 2-o nie wykorzystuje swych kapitałów, których nieproporcjonalnie duża część leży sobie na procencie w oczekiwaniu (żeby chociaż: w poszukiwaniu), aż dłużnicy raczą się zgłosić, podczas gdy jest rzeczą powszechnie wiadomą, jak znaczne są potrzeby kapitałowo - kredytowe przemysłu ludowego.

Analiza przyczyn powyższego stanu rzeczy zaprowadziłaby nas za daleko, ograniczamy się przeto do stwierdzenia, że przemysł ludowy poza jedynie 5-ma województwami wschodniemi nie spełnił swego zadania, i nie dał wsi tego, czego ona oczekuje zwłaszcza dzisiaj, w okresie głębokiej depresji. Nie należy stąd wnioskować, że wystarczy

zastrzyk 100—200.000 zł., a będziemy mieli nawet eksport wyrobów przemysłu ludowego (w eksport ten nie wierzy i niżej podpisany, gdyż wyroby te do eksportu w zasadzie się nie nadają); nie chcemy być również rozumiani, jako zwolennicy „rozbujania“ wsi przez forsowny i sztuczny rozwój przemysłu ludowego. Przemysł ludowy nie da się stworzyć bez podstaw naturalnych, bez właściwej lokalnym warunkom *bazy* surowcowej; przemysł ludowy nie zastąpi produkcji fabrycznej, lecz może ją tylko *uzupełniać*. Nie znaczy to jednak, by pojemność naturalna produkcji i normalnego wewnętrznego rynku zbytu była już dla przemysłu ludowego wyczerpana do reszty. Coś nie coś jeszcze zostało. Warto się więc pokusić o wypełnienie tej luki. Sztuka sztuką, artyzm artyzmem, praca społeczna swoją drogą — a mimo to rozsądna kalkulacja, zmysł kupiecki, sprawny zakup i sprawna sprzedaż, inicjatywa i *poszukiwanie* konsumenta są i będą conajmniej równorzędnym czynnikiem w podtrzymywaniu i rozwoju przemysłu ludowego w Polsce.

j. gozd.

DYSKUSJA UBEZPIECZENIOWA

UBEZPIECZENIA — KRYZYS — POSTĘP GOSPODARCZY

Pomimo, że ostrożność sądu nie należy do znamiennych cech pierwszej połowy XX wieku, to jednak w sprawach praktycznych, tam, gdzie wystarcza tak zwany chłopski rozum, pilnie strzeżemy się, aby nie wyciągać generalnych wniosków ze specyficznych okoliczności. I tak np. ktoś, kto po dłuższej podróży po nieświetnych polskich drogach zabrnął ze swojem autem w poleskie bagna, czy w podkarpackie bezdroże, nie będzie formułował swego sądu o przydatności auta jako środka komunikacyjnego i wartości współczesnej techniki na tej podstawie, że jego limuzyna, czy też zwykły Ford utknęły w błocie albo wytrzęsły go na wybojach. Najśmielszym wnioskiem, jaki zostanie wyprowadzony, może być to, że dla danych warunków trzeba wzmocnić resory lub motor, względnie, że przydatność transportu automobilowego ogranicza się do tej największej zresztą części Polski, która ma drogi — złe — ale ma. Możnaby również dojść do wniosku, że wartoby pomyśleć o budowie dróg. W każdym razie jednak nikomu nie przyjdzie do głowy obciążać auto odpowiedzialnością za pogodę, niedbalstwo urzędu drogowego i t. p. okoliczności.

Ta prosta zasada nie jest niestety przestrzegana z chwilą, kiedy idzie o zagadnienie o tyle bardziej skomplikowane, zagadnienie ubezpieczeń społecznych. Ze strony atakującej ubezpieczenia, „rachunek“ tej instytucji obciążony jest wszystkiemi grzechami przeciw duchowi świętemu ekonomji, jakie tylko komukolwiek zdarzyło się w latach ostatnich popełnić. Zarzut sztywności obciążeń, zarzut wadliwej dyspozycji przymusowo skapitalizowanemi sumami, zarzut niedostatecznego zaspakajania potrzeb ubezpieczonych i jednocześnie nadmiernego ich zaspakajania, (oba z pewnego punktu widzenia słuszne, ale chyba wykluczające się nawzajem), zarzut hamowania ekspansji eksportowej, zaostrzania dysproporcyj społecznych, itd. itd. — wszystko to wysuwane jest jednocześnie, z różnych coprawda stron, wszystko to musi w umysłowości laika sprowadzać się do jednej płaszczyzny: traktowania ubezpieczeń jako generalnego winowajcy.

Jeśli się chce uniknąć wspomnianego wyżej pomieszania pojęć, trzeba przedewszystkiem wyraźnie rozróżnić dwa kąty widzenia na sprawę obciążeń społecznych. Jeden to ocena gospodarczej roli ubezpieczeń społecznych na dłuższą metę, ocena ich wpływu na drogi rozwoju gospodarczego Polski, drugi to określenie ich roli w obecnie przebywanej fazie konjunkturalnej. Zacznijmy od tego ostatniego, węższego i prostszego problemu.

Ocena roli ubezpieczeń w danej fazie konjunkturalnej nie może być oderwana od całokształtu polityki konjunkturalnej danego państwa. Inaczej będziemy się musieli zapatrywać na rolę ubezpieczeń w okresie deflacji, inaczej przy polityce inflacyjnej. W latach ostatnich polska polityka gospodarcza postawiła sobie za cel obniżenie cen, co jest równoznaczne z obniżeniem wszystkich elementów kosztów wytwórczości. Zrozumiałem jest, że pod adresem świadczeń ubezpieczeniowych musiał być wysunięty postulat, ażeby nie hamowały one tego procesu. Obawiam się, że nowością dla wielu czytelników będzie stwierdzenie, że postulat ten był zrealizowany. Dla wyjaśnienia zacytuję niżej ustępy z obliczeń i wywodów p. Ludwika Landaua*), zaznaczając, iż przyjętą w nich metodę obliczania składek ubezpieczeniowych łącznie z płacami uważam za jedyną słuszną, zważywszy, że jedno i drugie służy do zaspokajania potrzeb tychże samych pracowników najemnych i że istnieje wzajemna współzależność obu tych wielkości.

A zatem „jak się przedstawia spadek płac w Polsce razem z obciążeniami ubezpieczeń społecznych? Czy obciążenia te może w poważnym stopniu zahamowały spadek płac? Płace zasadnicze robotników przemysłowych obniżyły się podczas kryzysu w Polsce o 25%. Jak zmieniły ten stosunek składki ubezpieczeniowe? Suma łączna tych składek (pracodawców i pracowników razem) wynosiła w 1929 r. 579 milj., dla 1934 r. szacowana jest na 394 milj. zł., spadek zatem wynosił 32%; w tym samym czasie suma płac obniżyła się z 6.6 miljard. zł. do około 4 miljardów, a po potrąceniu płac pracowników państwowych wyłączonych z systemu ubezpieczeń społecznych — z 4.85 miljard. do około 2.7 miljard., a więc około 45%. Zatem udział u-

---

*) Przegląd ubezpieczeń społecznych, Nr. 10 z 1934.

bezpieczeń społecznych istotnie wzrósł. Liczbowo wyraża się w ten sposób, że jeśliby suma płac brutto spadła o 44,3%, to płace netto (po potrąceniu także części składki obciążającej pracownika) spadłyby o 44,8%, a płace razem ze składkami pracownika i pracodawcy — o 43,7%. Ta różnica — 44,8% i 43,7% — maluje rozmiary „zahamowania spadku" płac przez „sztywne obciążenia" ubezpieczeniami społecznemi. Oznacza to, że płace robotników przemysłowych w Polsce wskutek zwiększenia udziału składek spadły nie o 25%, ale o 23% — 24%". Tyle pro praeterito. Ale też chyba to wystarczy.

A pro futuro... Czego możnaby oczekiwać, od drogi dalszego zmniejszania składek ubezpieczeniowych... Oczywiście narazie tylko pod kątem konjunkturalnym, gdyż szersze rozważania przeprowadzimy dalej. Zakładamy przytem, że mowa jest o obniżce składek, bez podwyżki płac. Otóż działanie zmniejszenia świadczeń przy utrzymanym poziomie płac nominalnych jest analogiczne do działania obniżki płac. Jeśli idzie o tę część dochodów ubezpieczeń, która zużywana jest na świadczenia w naturze i świadczenia pieniężne, to tu ograniczenie składek i wydatków tej kategorji oznacza „zmniejszenie dóbr i usług bezpośrednich (przy lecznictwie) lub sum na ich zakup, otrzymywanych przez ludność pracowniczą, a zato powiększenie zysku pracodawców, a więc przesunięcie od dochodów konsumowanych do kapitalizowanych". Że zaś podczas depresji zwiększone zyski nie są naogół inwestowane, siła nabywcza rynku uległaby zmniejszeniu, wzrost zapasów i postępująca za nim zniżka cen zapobiegłyby zapewne obniżce wartości realnej płac, natomiast musiałaby zostać ograniczona produkcja. Mielibyśmy tu zatem do czynienia z typowym procesem deflacyjnym. Jeśli chodzi o tę część dochodów ubezpieczeń, która obracana jest na lokaty, to tu obniżka składek oznaczałaby „raczej zmianę osób, niż funkcji": sumy przeznaczane na lokaty przybrałyby postać zwiększenia zysków przedsiębiorcy. „Ponieważ jednak zużycie dodatkowych zysków przez przedsiębiorców nie jest pewne, także to przesunięcie może się okazać ostatecznie zjawiskiem deflacyjnem". Szczegółowe uzasadnienie tego poglądu znajdzie czytelnik również w cytowanym artykule p. Ludwika Landaua, tu natomiast dodać jeszcze należy, że ograniczenie lokat pociągałoby za sobą wtórne konsekwencje dla tych instytucyj publicznych, które swą gospodarkę w pewnej, bynajmniej nie do zlekceważenia mierze opierają właśnie o lokaty ubezpieczeń. Tak czy inaczej, obniżka świadczeń ubezpieczeniowych jest posunięciem deflacyjnem, i właśnie pro futuro z chwilą kiedy traktowanie deflacji jako cnoty samej w sobie, utrzymuje się już tylko w bardzo nielicznych ośrodkach*), należałoby się zastanowić, czy kwestjonując celowość deflacji można mówić o takiem posunięciu, które właśnie z tendencji deflacyjnej wyrosło.

Sądzimy, że zastowany wyżej kąt patrzenia na konjunkturalną rolę ubezpieczeń, t. zn. zbadanie zgodności stanu rzeczy w świadczeniach ubezpieczeniowych i płacach z ogólną polityką konjunkturalną i stosunku ewentualnej rewizji wysokości świadczeń do procesów konjunkturalnych wyczerpuje to, co w danej sprawie powinno być powiedziane. Poza ten temat natomiast wychodziłoby zastanawianie się nad wpływem ubezpieczeń w dobie kryzysu na stan zatrudnienia, gdyż wpływ ten jest taki sam w tym okresie, jak w każdym innym momencie, albo też zastanawianie się nad znalezieniem w dziedzinie ubezpieczeń i płac kompensaty dla nadmiernych świadczeń publicznych, obciążających przedsiębiorców.

Przejdźmy teraz do donioślejszej części problemu, do długofalowej roli ubezpieczeń. Świadczenia ubezpieczeniowe oraz płace zarobkowe stanowią jedną organiczną całość. Dlatego też miał zupełną rację p. Czesław Bobrowski, domagając się w Nr. 7 Gospodarki Narodowej z r. 1934, ażeby przed rozpoczęciem dyskusji na temat rewizji ubezpieczeń określić, z jaką polityką płac miałaby się ona łączyć. Niestety wstydliwość większości krytyków systemu ubezpieczeń, powstrzymując ich od wypowiedzenia się w tej sprawie, zmusza nas do rozważenia zarówno alternatywy obniżenia świadczeń przy odpowiedniem podwyższeniu płac, jak alternatywy obniżenia świadczeń bez zmieniania poziomu płac**).

Obniżenie świadczeń przy równoczesnem podwyższeniu płac, tak iż suma pozostaje niezmieniona, sprowadza się do: a) zwiększenia konsumcji pracowników najemnych kosztem kapitalizacji przymusowej; b) przesunięć w spożyciu. Jeśli ktoś jest zasadniczym wrogiem kapitalizacji przymusowej, może uważać punkt a) za sukces, aczkolwiek bezwątpienia nie leży on w interesie ubezpieczonych. Byłby to jednak pewnego rodzaju pryncypializm, gdyż mając najdalej idące wątpliwości co do kapitalizacji przymusowej, musimy jednak pamiętać o tem, że niski poziom płac w Polsce na całe lata jeszcze wyklucza, dysponowanie przez pracownika najemnego jego dochodem w sposób jako tako przezorny, a więc leżący w jego i społeczeństwa interesie. Pozatem zarzuty pod adresem tej funkcji ubezpieczeń są szczególnie nie do twarzy tym, którzy głoszą hasło redukcji ubezpieczeń w imię „zmniejszenia spożycia na rzecz kapitalizacji". Nawiasowo przypomnieć należy, że nasuwający szeroką krytykę sposób wykorzystania sum skapitalizowanych w ubezpieczeniach prawie, że

---

*) Prosimy nie uważać tego powiedzenia za równoznaczne z anty - państwowym zamachem na złotego i z masońską intrygą, zmierzającą do nakłonienia Rządu do druku banknotów bez kontroli. Zastrzeżenie to uważamy za konieczne dlatego, że w pewnych kołach i dziennikach, wszystko co nie nosi stempla deflacyjności opatrywane jest natychmiast etykietą „inflacja", a to słowo dla szerszego ogółu nabrało tegoż znaczenia co „sufragan" i „akwarela" w feljetonach Wiecha.

**) Cennym wyjątkiem wśród krytyków jest p. J. Poniatowski, który z całym nakładem wiedzy i dobrej woli i bynajmniej nie zapoznając momentów społecznych, podjął na łamach Gospodarki (Nr. 3 — 1935) obronę niesłusznej w naszem przekonaniu polityki niskich płac.

nie obciąża odpowiedzialności instytucyj ubezpieczeniowych, gdyż ich polityka lokacyjna była tylko funkcją całokształtu naszej polityki gospodarczej i że nie miałoby żadnych podstaw twierdzenie, iż wogóle nie można sobie wyobrazić szczęśliwszego z punktu widzenia interesów gospodarczych dysponowania funduszami lokacyjnemi.

Jeszcze prościej przedstawia się sprawa zmian w kierunkach spożycia, jaka wynikłaby z zastąpienia ubezpieczeń podwyżką płac. Zmiana ta byłaby zresztą oczywiście ograniczona, gdyż potrzeby lecznictwa np. musiałyby, może w węższym zakresie, być i tak zaspakajane, a część płac musiałaby być zużytkowana dajmy na to na utrzymanie tych członków rodziny, którzy dziś otrzymują takie lub inne świadczenia pieniężne lub emerytury. To, że pewne potrzeby byłyby zaspakajane w mniejszym, inne w większym stopniu, ma niewątpliwie duże znaczenie ze społecznego punktu widzenia, z gospodarczego punktu jednak znaczenie to jest trzeciorzędne, gdyż tu decyduje przedewszystkiem globalna suma wydatków na wszelkie wogóle postaci spożycia, nie zaś skromne z natury rzeczy przesunięcia kierunku wydatków. Trudno byłoby np. przywiązywać większą wagę do tego, że spożycie wytworów jednej gałęzi przemysłu chemicznego: wyrobów farmaceutycznych, zmalałoby np. na rzecz spożycia wyrobów drugiej gałęzi: margaryny*).

Przy odrobinie domyślności nie trudno zresztą odgadnąć, że lwia część krytyków ubezpieczeń społecznych ma na widoku co innego: obniżkę świadczeń przy utrzymanym albo dalej obniżanym poziomie płac. I to niewątpliwie stanowi sedno sprawy. Punkt wyjścia rozumowania w tej sprawie jest prosty. Powiada się: Przez obniżenie funduszu płac łącznie z opłatami ubezpieczeniowemi zredukowane zostanie spożycie, a tem samem wzmożona kapitalizacja, zmniejszone zostaną koszta wytwórczości, a tem samem zwiększone możliwości produkcyjne. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że przy obecnym (nietylko kryzysowym) stanie życia gospodarczego Polski poziom dochodu społecznego daje się określić jednem tylko słowem: nędza, trzeba przyznać, że gdyby przesłanki powyższe były słuszne, to należałoby czemprędzej przystąpić do rewizji płac i ubezpieczeń, należałoby żyżyć, aby „obóz reakcjonistów" typu p. Poniatowskiego wzrósł jak najprędzej. Na szczęście przesłanki są błędne.

Podstawą błędu jest przeciwstawienie kapitalizacji spożyciu. Przeciwstawność taka istnieje, owszem, w warunkach... gospodarki sowieckiej. Tam istotnie, to co nie zostanie obrócone na spożycie, zostanie przez państwo skierowane na działalność inwestycyjną, na tworzenie kapitału rzeczowego. Natomiast w warunkach kapitalistycznych, rozwój wytwórczości czy to w formie zwiększenia zatrudnienia istniejących zakładów, czy w formie nowych inwestycyj następuje na podkładzie wzrastającego spożycia. Wzrost spożycia jest warunkiem, zwiększającym rentowność nakładu kapitałowego ze strony przedsiębiorcy, a to (t. zn. rentowność) z kolei jest w gospodarce kapitalistycznej warunkiem podejmowania wogóle tego nakładu. Błędne rozumienie tej prostej skądinąd sprawy rodzi się bądź ze stosowania kategorji prywatno-gospodarczych do gospodarki społecznej (czego nie zjem, to odłożę), bądź z utożsamiania oszczędności pieniężnej z kapitalizacją wogóle, tak, jak gdyby książeczka w PKO była jedyną, a nie drugorzędną w porównaniu z „samofinansowaniem" inwestycyj przedsiębiorstw formą kapitalizacji. Niewątpliwie redukcja świadczeń ubezpieczeniowych zmusi pracowników najemnych do zaspakajania z ich dochodu części potrzeb, zaspakajanych dziś przez ubezpieczenia społeczne. A zatem siła nabywcza pracowników najemnych, użytkowana na te potrzeby, które dzisiaj pokrywane są z dochodu indywidualnego przy obniżeniu świadczeń czy też płac, co na jedno w znacznym stopniu wychodzi, musi ulec zmniejszeniu. A to zmniejszenie jest równoznaczne z pogorszeniem warunków rentowności dla nakładu przedsiębiorcy.

Podobnie błędnem jest założenie, że obniżenie płac bezpośrednio czy pośrednio przez obniżenie świadczeń, musi wpłynąć w stanowczy sposób na obniżenie cen i zwiększenie konkurencyjności naszego towaru. Przy zwężonem spożyciu w niektórych wypadkach towar może nawet podrożeć. W każdym razie zgóry należy stwierdzić, że spadek spożycia będzie przeciwstawiał się zawsze tej obniżce cen, któraby wynikała z obniżki kosztów. Dodać przytem należy, że wogóle o wpływie bezpośrednim zniżki płac na poziom cen mówić można tylko w odniesieniu do przemysłu *nieskartelizowanego*, i że wytwórczość przemysłu *skartelizowanego* stanowiąca około 40% całkowitej wytwórczości przemysłowej, jest właśnie tym działem, gdzie znajduje zatrudnienie olbrzymia część ubezpieczonych.

Prawidłowość tego teoretycznego wywodu, podobnie, jak nieprawidłowość rozumowań przeciwnych, potwierdza nam zresztą obserwacja historyczna. Rozwój przemysłu łączy się zawsze bynajmniej nie z obniżaniem, ale ze wzrostem poziomu płac. I to jest zrozumiałe. Proces rozbudowy przemysłu, który sam przez się stwarza przez zwiększanie zatrudnienia nowe rynki zbytu, jest uwarunkowany poprzedzającym go rozwojem wewnętrznego rynku zbytu. Historycznie biorąc, do wyjątków należą wypadki rozbudowy przemysłu w oparciu się odrazu o zbyt zagraniczny, normalnie jest odwrotnie, najpierw dostateczna baza konsumcji wewnętrznej, potem ekspansja eksportowa. Z chwilą, kiedy wieś polska przez długie jeszcze lata nie może być czynnikiem dominującym na polskim rynku konsumcyjnym, z chwilą, kiedy spożycie t. zw. warstw wyższych stanowiące z natury rzeczy drobniejszą pozycję niż spożycie pracowników najemnych, jest pozatem niezmiernie zróżniczkowane i rozdrobnione, warunkiem rozwoju przemysłu, a więc podstawowym warunkiem dodatniego kierunku ewolucji gospodarczej Polski

*) Nie twierdzę oczywiście, że obecny **„klucz rozdziału"** pomiędzy świadczenia a płace jest najkorzystniejszy, tej sprawy nie zdołam jednak zamknąć w wąskich ramach tego artykułu.

jest stałe podwyższanie poziomu płac. Rosnące płace — to rosnący przemysł — to *rosnąca*, a nie *zmniejszająca* się możność zatrudnienia, to warunek rentowności nakładu kapitałowego, to punkt wyjścia dla wyprzedzenia tempa przyrostu ludności, przez tempo wzrostu możliwości zatrudnienia, punkt wyjścia do wchłonięcia wiejskiego przeludnienia, ba, nawet do zdobycia soli dla tych — na wsi, — którzy jej dziś nie mają. I o ile z postulatem tym nie byłoby sprzeczne dążenie do zastąpienia świadczeń podwyżką płac, o tyle obniżka świadczeń przy niezmienionej stawce płac, równając się obniżce tej płacy, byłaby hamulcem dla postępu gospodarczego. I dlatego chociaż niekoniecznie jest reakcjonistą społecznym ten, kto domaga się obniżki poziomu płac plus świadczenia, (niekoniecznie — bowiem si duo faciunt idem, non est idem), to natomiast jest on reakcjonistą gospodarczym.

Grzegorz Turowski.

„PRAWO SILNIEJSZEGO" A „PRAWO OCHRONY SŁABSZEGO"

1. Zasadnicze zarzuty przeciwko ubezpieczeniom społecznym dają się sprowadzić do trzech punktów: 1) że ubezpieczenia społeczne podrażają proces produkcji, 2) że uszczuplają one rozporządzalną część dochodu pracownika najemnego, ograniczając zaspokojenie potrzeb, nie objętych ubezpieczeniem, 3) że zmniejszają elastyczność życia gospodarczego, opóźniając t. zw. procesy wyrównawcze w przebiegu wahań konjunkturalnych. Zarzutom tym nie mogę odmówić słuszności, ponieważ sam niejednokrotnie je formułowałem, dążąc do stwierdzenia, że polski system ubezpieczeń społecznych nie może rościć sobie pretensji do nienaruszalności, który to postulat przed laty był bardzo popularny, i wysuwając propozycje zmieniające do usprawnienia istniejącego systemu. Od tej chwili jesteśmy jednak daleko. Krytyka ubezpieczeń społecznych z punktu widzenia trzech zaznaczonych tutaj momentów jest przedmiotem wielu poważnych wystąpień, między innemi na łamach „Gospodarki Narodowej". Pamiętać jednak trzeba, że dociekania na temat ubezpieczeń społecznych z punktu widzenia maksimum korzyści gospodarczych osiąganych przez kraj, bez podszewki konkretnych interesów pewnych grup społecznych, nie mogą pozostać w izolacji od tego podłoża społecznego, na którem toczy się walka o ubezpieczenia. Gabinet ekonomisty, ani trybuna publicysty gospodarczego nie może pozostać wieżą z kości słoniowej, w której panuje beznamiętny spokój bez względu na to, jakie prądy poza nią działają i w jakim kierunku zmierzają.

Ubezpieczenia społeczne są dziś w Polsce atakowane szeroko nie dla ich usprawnienia, ale dla ich pogrzebania. Cały ten atak robiony przy pomocy artykułów dyskusyjnych, „głosów życia" itp. głosów z podziemi, stanowiących środki w walce zorganizowanej przez idące konsekwentnie do celu redakcje pism i organizacje jest przejawem fali wstecznej w życiu społecznem, przejawem odpływu, który prowadzi do zniesienia istniejących instytucyj, jako biorących w obronę elementy słabsze w społeczeństwie.

A że każdy systematyczny atak szuka sobie dogodnej podbudowy doktrynalnej, która kryłaby możliwie dobrze konkretne interesy grupowe, atak szuka punktu oparcia w doktrynie liberalnej. Liberalizm ekonomiczny stawia sobie za cel osiągnięcie możliwie wielkiego dochodu społecznego, bez względu na to, jak ukształtuje się jego podział, i bez względu na to, jaki wpływ będzie miało postępowanie wyłącznie w myśl zasady „maximum korzyści przy minimum kosztów" na inne dziedziny życia społecznego, a więc na zjawiska polityczne, ogólno - kulturalne itp. Jako środek prowadzący do celu liberalizm zaleca utrzymanie możliwie daleko idącej elastyczności w warunkach kształtowania się życia gospodarczego, zwalczając wszelkie jego usztywnienia.

2. Ubezpieczenia społeczne są usztywnieniem życia gospodarczego. Czy jednak zjawisko to można traktować niezależnie od innych zjawisk w rozwoju życia gospodarczego, od warunków, w jakich znajdujemy się w obecnem jego stadjum? Czy stabilizację niektórych potrzeb w życiu pewnych grup socjalnych, przeprowadzoną z określonym celem można rozpatrywać niezależnie od rozszerzenia się innych potrzeb publicznych, a nadewszystko od zjawiska usztywnienia cen niektórych dóbr i usług? Zupełny automatyzm, całkowita swoboda kształtowania się życia gospodarczego nie panowały nigdy. W początkach rozwoju kapitalistycznego czynniki sztywne odgrywały w życiu gospodarczem małą rolę. Ale dziś? Żyjemy w epoce rozrostu gospodarki publicznej. Budżety państwowe i samorządowe — na dłuższą metę rosną, bo rośnie zakres potrzeb zaspokajanych przy pomocy ciał publicznych. Z drugiej strony coraz większego znaczenia nabiera zjawisko monopolizacji poszczególnych sfer życia ekonomicznego przez czynniki prywatno - gospodarcze i nieodłączne od niego zjawisko usztywnienia cen odpowiednich dóbr i usług przez przedsiębiorstwa działające na podstawie koncesji i przez kartele. Jednocześnie coraz większego znaczenia nabierają wymagania przywilejów dla pewnych gałęzi wielkiego przemysłu w postaci prohibicyjnych stawek celnych, systemu różnorodnych premij, w szczególności eksportowych, uprzywilejowanych taryf kolejowych i innych środków interwencji, opłacanych przez cały kraj a stosowanych w imię „ochrony pewnych potrzeb życia gospodarczego".

Żyjemy w okresie, w którym 1. zakres zjawisk regulowanych przez czynniki społeczne jest szerszy niż w ubiegłych dziesięcioleciach i ma dażność do wzrostu, 2. korzystają z prawa obywatelstwa instytucje, które podział dochodu społecznego korygują na korzyść grup ekonomicznie silniejszych, przyczem również wykazują one tendencje wzrostu.

Ubezpieczenia społeczne są z temi zjawiskami nieodłącznie związane, są one produktem swojej epoki, epoki „gospodarki związanej". Najistotniejsza różnica między jednemi a drugiemi tkwi w tem,

że instytucje monopolistyczne i owe środki polityki gospodarczej są przejawem *prawa silniejszego*, podczas, gdy *ubezpieczenia społeczne stanowią ochronę grup ekonomicznie słabszych.*

Kto chce podważyć zasadę ubezpieczenia społecznego we wszelkiej postaci, kto zmierza do skasowania wszelkich jego form w Polsce względnie do sprowadzenia go do „nieszkodliwego minimum", chcąc się opierać na *założeniach ekonomicznych* musi się na wstępie opowiedzieć przeciwko wszelakim formom monopolizacji rynku, i wszelkim roszczeniom do ochrony szczególnie interesów grup ekonomicznie silniejszych. Rzecz prosta, występowanie w imię interesów określonych grup społecznych tego nie wymaga. Opierając się na nich można bronić ubezpieczeń społecznych, albo je zwalczać, trzeba tylko jasno określić motywy swego stanowiska, jeśli się chce uniknąć zarzutu, że nie jest ono rzetelnie bronione.

Ubezpieczenia społeczne w Polsce, jako zasada, a nie jako pewien konkretny system organizacyjny, wymagający ewentualnych reform, są dziś atakowane właśnie przez czynniki, które bezpośrednio lub pośrednio z monopolizacji poszczególnych przejawów życia gospodarczego korzystają. Źródłem ataków jest wielki przemysł. Czynniki, które korzystają z *prawa silniejszego*, prowadzą atak na *prawo słabszego* do ochrony jego interesów gospodarczych.

3. W Nr. 3 „Gospodarki Narodowej" p. Józef Poniatowski zajął wobec zasady ubezpieczeń społecznych stanowisko krytyczne, formułując swoją „ideologję reakcjonisty". P. poseł Poniatowski, jako publicysta przez szereg lat prowadził walkę z różnorodnemi przejawami monopolizacji życia gospodarczego, i to pozwoliło mu właśnie ze stanowiska ekonomicznego wypowiedzieć szereg zastrzeżeń w stosunku do zasady ubezpieczenia społecznego. Z rozważań swych wysnuł ostatecznie wniosek o konieczności zaniechania dalszej ich rozbudowy oraz o potrzebie dalszej redukcji obciążeń. Wnioski ostateczne są zatem znacznie mniej „reakcyjne" niż zapowiadał tytuł artykułu. Autor zaatakował *zasadę*, a doszedł do wypowiedzenia zastrzeżeń co do jej *stosowania*, utrzymując się zatem w praktyce w granicach oświadczenia się za zmianami w systemie organizacyjnym. W tej dziedzinie jest zawsze pole do dyskusji, która będzie niewątpliwie płodna, jeśli wychodzić będzie z takich założeń, jakie kierowały p. Poniatowskim i prowadzona będzie na takim poziomie. P. Poniatowski jest jednak niestety odosobniony. Krytycyzm w stosunku do *zasady* ubezpieczeń społecznych chodził zwykle i chodzi u nas chronicznie zupełnie innemi drogami.

4. Uznając ubezpieczenia społeczne za organicznie związane z całym współczesnym systemem życia gospodarczego, nie możemy temsamem zgodzić się z kwestjonowaniem potrzeby istnienia ubezpieczeń społecznych z punktu widzenia ekonomicznego. Stanowią one korektywę, a przynajmniej usiłowanie skorygowania podziału dochodu społecznego, jedną z wielu istniejących korektyw, których na rzecz warstw słabszych jest nieporównanie mniej, aniżeli na rzecz silniejszych, i to jest ich uzasadnieniem. Nie ulega żadnej wątpliwości, że — z drugiej strony — są one obciążeniem życia gospodarczego. Skoro jednak gospodarowanie bez obciążeń i usztywnień jest postulatem nieżyciowym, to w istniejących warunkach polskiego życia ekonomicznego dążenie do likwidacji, lub jeśli kto woli się tak wyrażać — sprowadzenia ubezpieczeń społecznych do nieszkodliwego minimum, nie da się utrzymać jako postulat programowy, uzasadniony wyłącznie względami natury ekonomicznej traktowanemi *in concreto.*

Może natomiast istnieć i istnieje zagadnienie *miary* rozwoju ubezpieczeń społecznych, odpowiadającej warunkom życia polskiego. Wszelkie rzetelne postawienie sprawy musi się w praktyce sprowadzić właśnie do zagadnienia miary. Tak też stało się z „reakcyjnemi" rozważaniami p. Poniatowskiego, z którym — pomimo odmiennych punktów wyjścia — moglibyśmy się zapewne doskonale porozumieć, podczas gdy nam obu byłoby zapewne trudne porozumienie się z temi czynnikami, które w walce przeciwko ubezpieczeniom społecznym boją się jak ognia marki „reakcjonistów".

W stosunku do ubezpieczeń społecznych chciałbym zająć podobne stanowisko, jakie pewien znany publicysta zajął wobec karteli, twierdząc, że jest to w zasadzie dobra forma gospodarowania, tylko niektóre kartele źle postępują, trzeba zatem rozróżniać dobre i złe kartele, których działalność trzeba korygować. Podobnież widzę konieczność wprowadzenia zmian w systemie naszych ubezpieczeń społecznych, jestem bowiem ich zwolennikiem.

Zagadnienie *miary* rozwoju ubezpieczeń społecznych wysuwa konieczność porównania korzyści (społecznych) i ofiar (ekonomicznych), płynących ze sztucznego rozszerzenia i stabilizacji pewnych potrzeb, które bez ubezpieczeń społecznych byłyby zaspakajane w mniejszym zakresie. Porównanie jednych i drugich musi być z konieczności oparte na pewnej dowolności, która ma swoje granice. Koszty owych rozszerzonych potrzeb nie mogą się zbyt silnie różnić od kosztów, które wyłożyłaby na ich zaspokojenie zabiegliwa jednostka. Sądzę, że w szczególności w zakresie ubezpieczenia chorobowego, koszty systemu ubezpieczeniowego przekraczają te granice, być może, nawet dość znacznie, jeśli wziąć pod uwagę rozpaczliwie niski poziom zarobków robotniczych w Polsce.

Czy oznacza to konieczność mechanicznej redukcji świadczeń? Nie sądzę. Należałoby sięgnąć do reform organizacyjnych, opartych na gruntownem przestudjowaniu zagadnień ubezpieczeniowych, a dopiero gdyby one zawiodły, sięgnąć do rewizji zakresu świadczeń.

Nie wchodząc w szczegóły sądzę, że niesłusznie zlekceważona została u nas idea dopuszczenia ograniczonego *współzawodnictwa* prywatnych instytucyj ubezpieczeniowych (fabrycznych kas chorych, zakładów ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków i t. d.), z instytucjami publicznemi. We Włoszech np. ten system dał bardzo dobre wyniki,

wprowadzając czynnik kontroli rynku w dziedzinę kosztów ubezpieczeń.

Nie zostały również u nas wzięte pod uwagę odrębności kształtowania się kosztów, ubezpieczeniowych w zależności od terenu. Polska jest krajem gospodarczo niejednolitym. Stopień uprzemysłowienia terenu, stopień rozdrobnienia przedsiębiorstw, z któremi ma do czynienia instytucja ubezpieczeniowa, wpływa w znacznej mierze na kształtowanie się kosztów administracyjnych. Organizacja ubezpieczeń społecznych, chcąc działać sprawnie i oszczędnie musi te odrębności uwzględniać. Wpływają one w pierwszym rzędzie na zakres poszczególnych ubezpieczeń oraz na określenie zasięgu działalności instytucyj ubezpieczeniowych.

Zagadnienie organizacji ubezpieczeń społecznych w całokształtcie wymaga, rzecz prosta, specjalnego i szczegółowego omówienia. Tutaj zaznaczamy tylko te momenty ogólnego znaczenia, które najbardziej rzucają nam się w oczy.

5. Żądania ograniczenia zakresu ubezpieczeń społecznych są szczególnie intensywne w okresie kryzysu. Czemu tak jest? Warunki rynkowe tak silnie naciskają na płace, że albo mają one tendencję spadkową, albo też utrzymują się na niezmiennym poziomie i żadne zmniejszenie się kosztów produkcji nie wywiera wpływu zwyżkowego na poziom płac: wszelka redukcja obciążeń z tytułu ubezpieczeń społecznych jest w całości, lub niemal w całości przewłaszczana na rzecz przedsiębiorcy. Inaczej w okresie zwyżkowej fali konjunktury, w ciągu której redukcja świadczeń powodować musi zwiększenie się rozporządzalnej części dochodów pracownika najemnego. Trzeba zatem pamiętać, że oczekiwanie wzrostu zarobków robotniczych w związku z redukcją świadczeń ubezpieczeniowych jest bardzo zawodne.

6. Wpływ ubezpieczeń społecznych na usztywnienie życia gospodarczego można w znacznym stopniu złagodzić, wprowadzając system ruchomych składek ubezpieczeniowych, obniżających się w okresie niepomyślnej konjunktury i podnoszących w okresie pomyślności. Oczywiście rozpocząć trzeba od podnoszenia wysokości świadczeń, od gromadzenia rezerw w okresie pomyślności gospodarczej. Nie wchodzę w szczegóły tego zagadnienia, które przed kilku laty traktowałem obszerniej w „Gospodarce Narodowej"[1]).

Natomiast nie da się uzasadnić „uelastycznienie" świadczeń znajdujące się w programie gospodarczym Centralnego Związku Przemysłu Polskiego (wysokość świadczeń społecznych nie może być w dzisiejszych warunkach wielkością stałą", jak głosi obszerny program z r. 1932-go). Żadaniem ubezpieczeń społecznych jest właśnie wprowadzenie momentu stałości do życia ubezpieczonego przez przeznaczenie pewnej sumy pozostającej w stałym stosunku do jego zarobku na zaspokojenie potrzeb, występujących sporadycznie, albo niespodziewanie, których on z bieżących dochodów zaspokoić nie może.

Bolesław Wścieklica.

NOTATKI

PRÓBA WYJAŁOWIENIA DYSKUSJI

W noworocznej notatce p. t. „Jałowa taktyka" usiłowałem wykazać, że grupy niezdolne do ześrodkowania dyspozycji błądzą, rozpraszając energję w bezpłodnych próbach narzucenia sobie organizacji sprzecznej z ich strukturą, zamiast bronić udziału w dochodzie społecznym tworząc wspólny front anty - kartelowy. Ubocznie wspomniałem, że dalsza kartelizacja jest dla gospodarstwa społecznego niepożądana, bowiem prowadzi „do coraz bardziej jaskrawego zakłócenia równowagi w podziale dochodu społecznego". To ostatnie zdanie skłoniło pana c. w. do twierdzenia na łamach „Przeglądu Gospodarczego" (nr. 2.), jakobym pojęciem równowagi w podziale dochodu manipulował „w sposób tak zdecydowany, jakby chodziło o powszechnie znany i ściśle sprecyzowany termin", a dalej, jakoby z notatki odnosiło się wrażenie „że autor posiada jakiś jemu tylko bliżej znany klucz dla podziału tegoż dochodu, a każde nadwyrężenie tego klucza gromi w sposób zdecydowany, jako niesłychanie niebezpieczne".

Poza podziwem dla fantazji pana c. w., który z przytoczonego zdania (w notatce mojej innych wzmianek o równowadze nie było) odniósł tak różnorodne „wrażenia", winien mu jestem wdzięczność za niezasłużone, ale zaszczytne dla mnie posądzenie o ojcostwo pojęcia równowagi w podziale dochodu społecznego. Ofiarowuję mu wzamian parę wyjaśnień:

Pojęcie równowagi gospodarczej, zawierające zarazem i równowagę w podziale dochodów i zaatakowaną również przez p. c. w. równowagę cen posiada obfitą literaturę. Jakkolwiek niektórzy teoretycy proponowali odrzucenie tego pojęcia (uzasadniając to stanowisko, w przeciwieństwie do p. c. w.), ogromna większość ekonomistów posługuje się pojęciem równowagi i zakłóceń równowagi, bardzo w ekonomice płodnem. W notatce polityczno - gospodarczej nie widziałem i nie widzę potrzeby obszernej analizy pojęć dostatecznie znanych, natomiast p. c. w. może zaspokoić ciekawość sięgając do bibljoteki Lewjatana choćby po Marshall'a. Gdyby zaś p. c. w. słusznie zauważył, że stan równowagi jest założeniem teoretycznem, nierealizowanem nigdy w całości, a określenie jaki podział dochodów zbliża się do równowagi jest zawsze sporne, poproszę go znowu, by zajrzał np. do Ledererа, co go przekona, że istnieje poważna teorja, wyjaśniająca wahania cykliczne właśnie kolejnemi zakłóceniami równowagi w podziale dochodu społecz-

[1]) Nr. 2 r. 1931. Artykuł „O reformę ubezpieczeń społecznych".

nego, przyczem objaśnienie mechanizmu zaburzeń jest możliwe bez oznaczania samego stanu równowagi.

Psychjatrzy twierdzą, że niema w rzeczywistości ludzi o absolutnej równowadze wszystkich władz umysłowych, każdy z nas wykazuje jakieś odchylenia od normy, nadto określenie, jaki skład elementów psychicznych odpowiadałby pojęciu równowagi jest równie trudne, jak określenie stanu, zapewniającego równowagę gospodarczą. Pomimo to wypadki *jaskrawego* zakłócenia równowagi umysłowej dają się stwierdzić ze stopniem pewności, wystarczającym do opierania na tej djagnozie wyroków sądowych. Zupełnie podobnie i bez tajemniczego „klucza" idealnego podziału dochodu społecznego można stwierdzić jaskrawe zakłócenie równowagi tego podziału, jak to właśnie uczyniłem.

Pan c. w. twierdzi, że jeśli przed kilku laty udział rolnictwa w dochodzie społecznym był np. trzykrotnie wyższy niż dziś, a jutro może być jeszcze o połowę niższy, to każdy z tych udziałów może być słusznie uznany za odpowiadający stanowi równowagi. Za pozwoleniem. Układ w stanie równowagi nie zawiera elementów zmian endogenicznych, działające w nim siły nawzajem się neutralizują. Możemy sobie, w oderwaniu od polskiej rzeczywistości, wyobrazić układ w równowadze nawet przy zerowym udziale rolnictwa w dochodzie społecznym, t. zn. przy nieobecności rolnictwa.

Jeśli natomiast weźmiemy pod uwagę stosunek faktycznego dochodu na głowę ludności wiejskiej do potrzeb fizjologicznych i gospodarczych, przekonamy się, że jeśli mogą być wątpliwości, czy podział dochodu społecznego, w którym udział rolnictwa wynosił 3 x, a przy którym i przemysł czuł się dobrze, pozwoliłby na ustalenie się równowagi sprzyjającej rozwojowi gospodarczemu, zato niema wątpliwości, że przy udziale x ustalenie nowej równowagi wymagałoby znacznego czasu i znacznego cofnięcia się produkcji rolniczej, a samo przejście od 3x do x przy równoczesnem kurczeniu się globalnego dochodu musi być odczuwane jako gwałtowne zaburzenie równowagi. Wreszcie ustalenie równowagi przy udziale ½ x (wciąż caeteris paribus) wymagałoby oprócz innych przystosowań wymarcia najmniej połowy ludności rolniczej. Tak, jak jest dzisiaj, deficytowość gospodarstw jest endogenicznym czynnikiem niestałości, świadcząc o nierównowadze istniejącego układu.

Dążeniem grup nieskartelizowanych musi być szukanie równowagi około tego podziału dochodu społecznego, którýby się ustalił przy wolnej konkurencji. Odprowadzenie znacznej części tego dochodu na rentę monopolową oddala nas od tej równowagi, a wątpię czy p. c. w. zaprzeczy pobieraniu przez kartele renty monopolowej. A może napisze notatkę, poświęconą „wyjaśnieniu" tego pojęcia, gdzie napisze, że operuję niem jakby było powszechnie znane i zarzuci, że ono „nic nie mówi" i jest „bałamuctwem"?

Notatka pana c. w. zawiera jeszcze dygresję, gdzie autor twierdzi, zresztą gołosłownie, jakoby w Niemczech więcej szkody narobiła interwencja, mająca korygować podział dochodu społecznego, niż kartelizacja. Szkoda, że nie rozważył jeszcze i tej możliwości, że interwencja na rzecz grup nieskartelizowanych bywa złem koniecznem, konieczną konsekwencją kartelizacji. Skoro zaś p. c. w. jest zwolennikiem ścisłości, poradzę mu, by nie mierzył napięcia kartelizacji liczbą karteli — metoda już dostatecznie skompromitowana przez dra Rogera Battaglię.

Zamieszczenie na łamach organu określonej grupy interesów notatki, mającej na celu, według słów autora, „tylko wyjaśnienie pewnego pojęcia" budziłoby więcej uznania, gdyby zdyskredytowanie tego użytecznego pojęcia nie było tak bardzo zgodne z interesem reprezentowanej grupy. Nie jest to pierwsza próba wyjałowienia dyskusji na temat wpływu kartelizacji na podział dochodu społecznego. Zupełnie przecież podobnie usiłowano osłabić wymowę wskaźników cen, podając w wątpliwość konstrukcję wskaźnika, wybór podstawy, itp. Jest to metoda roztropniejsza niż atak frontowy na tezy tak oczywiście słuszne, że otwarta dyskusja mogłaby je raczej rozpowszechnić niż obalić. Na szczęście, przy pewnej jaskrawości zjawisk, ich ukrycie przestaje być możliwe. W dzisiejszym stanie rzeczy możemy dopuścić najdalej idącą tolerancję w oznaczaniu stanu równowagi, w wyborze wskaźnika — jaskrawość zakłócenia równowagi w podziale dochodu społecznego niewiele na tem straci.

Józef Poniatowski.

„DE-BLOKOWANIE" ZŁOTA

Była na łamach „Gospodarki" kilkakrotnie mowa o t. zw. bloku złotym — o ugrupowaniu krajów, które zadecydowały w największym rozgwarze walki światowej o politykę pieniężną w połowie 1933 r. trzymać się wiernie systemu swobodnego funkcjonowania waluty złotej. Było z tej racji wówczas trochę hałasu, który ucichł, jako że poza pięknemi deklaracjami cały ów „blok", albo raczej jego pięć szóstych znajdowało się w położeniu, jaknajmniej nadającem się do prowadzenia jakiejkolwiek „współpracy" między sobą, współpracy, która była celem powstania ugrupowania i środkiem do łatwiejszego utrzymywania ortodoksyjności walutowej. 5/6 „bloku"—tj. 5 państw wierzycielskich kontynentalnej Europy zachodniej prowadziły lub zaczynały prowadzić wówczas politykę deflacyjną w najtrudniejszych warunkach politycznych jakie sobie można wyobrazić (demokracje parlamentarne...), a więc politykę, która z natury rzeczy wymaga lub powoduje zmniejszanie się przywozu towarowego i ograniczenia wywozu kapitałów. Jak na materjał do „współpracy gospodarczej" jest to właśnie odwrotność tego, czegoby trzeba.

To też o „współpracy" i o samym bloku było głucho aż do jesieni r. ub., kiedy wobec wahania się Belgji, czy utrzymać czy dalej jeszcze obniżyć walutę, spróbowano coś zainicjować. Istotnie—pewne zewnętrzne posunięcia zrobiono, zjazd krajów „bloku" do Brukseli postanowiono i zwołano, komisje wyłoniono i... dotychczas czekamy na ciąg

dalszy. W międzyczasie jednak zaszły w samym „bloku“ wcale ciekawe zmiany.

Przedewszystkiem jeden partner zaczął należeć do „bloku“ tylko nominalnie. Są nim Włochy, które po lekkich ograniczeniach obrotu dewizowego w maju r. ub. poszły już na poważniejsze w grudniu r. ub. i wymazały się temsamem z grona krajów o swobodnie funkcjonującej walucie złotej. O ile bowiem do grona tego nie ma wstępu taka np. Czechosłowacja, trudnoby znaleźć rację dla przebywania w nim Włoch. Być może, że Praga ogranicza obrót dewizowy ostrzej nieco niż Rzym, ale to już są subtelności: grunt, iż klasycznej waluty złotej oba te kraje nie posiadają.

O wiele jednak bardziej znamienne są posunięcia francuskie. Francja była w chwili powstawania „bloku“ jego twórcą, ośrodkiem i podporą. Obecnie stanowisko to zajmuje zresztą nadal. Otóż Francja ma dotychczas absolutnie „czystą“ politykę waluty złotej, ale jej polityka finansowa wewnętrzna zaczyna być powoli antytezą tego kierunku, w którym trzebaby iść, aby tę walutę złotą utrzymać. Inflacja kredytowa — a jest inflacją kredytowa niewątpliwie redyskontowanie przez Bank Francuski krótkoterminowych bonów skarbowych, których plafon emisji podniesiono (na jak długo?...) do 15 miljardów franków, — nie sprzyja zaufaniu do stałości pieniądza. Zwłaszcza, iż ostatnie wypadki polityczne w Paryżu wskazywałyby znów, iż Francja po roku mniejszego czy większego spokoju i konsolidacji poczyna wchodzić w tak zgubne dla siebie kontrowersje partyjne.

W rezultacie na sześciu partnerów w „bloku“ jeden właściwie odpadł już zupełnie, a drugi — najważniejszy—zachwiał się w podstawowej linji swej polityki deflacyjnej. Nic dziwnego, iż mająca się zbierać co trzy miesiące Komisja Generalna „bloku“ spóźnia się tym razem już o dobre trzy tygodnie. Nie było nigdy zbyt wiele do mówienia w tem towarzystwie, ale obecnie bodaj, że jest jeszcze mniej niż zwykle.

Interesuje nas właściwie tylko jedno: jak można z bądź co bądź poważnej idei związku kilku solidnych państw w celu wzajemnej pomocy przy utrzymaniu ich walut robić, powiedzmy otwarcie, takie — przedstawienie?...

a. m.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA“ CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. Piotra Laskauera, Warszawa, Marjensztadt 8.